

Pani Krystyna, wyrwana tak brutalnie z koła swych marzeń, zawrzała znowu gniewem:

— Ruszaj do kuchni! Dostaniesz zaraz twoją książeczkę i pieniądze, a potem wynos mi się, że- bym cię już więcej nie widziała!

Marysia powolnie, flegmatycznie wyszła, mówiąc:

— Ta idę, już idę! Ojej wielkie mi rzeczy służba!

Pani Krystyna z Anielką rozpoczęły nazajutrz od samego rana poszukiwania za służącą. Nie było to jednak rzeczą tak łatwą, jak się początkowo Anielce zdawało.

Wprawdzie dziewcząt bez zajęcia, pobierających zapomogę rządową i korzystających z rozmaitych dodatkowych zasiłków ofiarności publicznej było dosyć, nie kwapiły się one wszakże do objęcia służby.

Jedna pytała panią Wolską, czy bieliznę pierze się w domu, a następnie oświadczyła:

— Ja z praniem nie mogę! Ja do prania nie-nauczona, u moich państwa zawsze się bieliznę da- wało do pralni.

Druga zastrzegła się, że podłóg froterować nie będzie, bo jej to szkodzi, inna jeszcze stawiała tak drobiazgowo wymagania co do trybu życia domo- wego, że pani Krystyna rzekła zniecierpliwiona:

— Moja kochana, przecież ja prowadzenia mego domu nie będę stosowała do ciebie!

Nareszcie zdawało się, że już dojdzie do skutku umowa z młodą, ładną dziewczyną, silną brunetką, która w wymaganiach swoich okazywała się nieco skromniejsza, aniżeli jej koleżanki.

Pani Krystyna sięgała już do portmonetki po zadatek, kiedy nagle kandydatka na służącą zapy- tała:

— Ale pan jest w domu, proszę pani?

— Nie, ja jestem wdową...

— A to ja, proszę pani, nie służę w takim domu, gdzie niema pana...

To już dopełniło miary irytacji i zniecierpliwie- nia pani Krystyny. Oświadczyła Anielce, że dłużej służącej szukać nie myśli, lecz napisze do Poty- rowskiego, aby jej przysłał swoją protegowaną...

— Mogłam sobie oszczędzić trudu chodzenia po- stawianych i prowadzenia takich miłych roz- mów! Uległam twojemu kaprysowi i dużo mi z tego przyszło! Wołacie wszyscy: wojna! wojna! Wszystko powinno się zmienić! Popatrzcie się na te wszyst- kie dziewczęta, z którymi mówiłyśmy. Czy wojna nauczyła je czego, czy zmieniła je? Chyba na gorsze!

Anielka była zmartwiona wynikiem poszukiwań i z zakłopotaną miną próbowała ciotce tłumaczyć...

— To przypadek, ciotciu! Trafiliśmy na jakieś specjalnie zepsute i rozpróżniane dziewczęta. Przecież nie wszystkie są takie!

— Wszystko mi jedno! Dość mam tego! Biorę tę dziewczynę, którą poleca Potyrowski!

Anielka nie chciała jej dłużej oponować, nie mo- gła jednak zapanować nad sobą, aby nie zdradzić swego niezadowolenia.

— Tak! Naturalnie, krzywisz się! Jeżeli tylko Potyrowski coś powie, to już ci się nie podoba! A on cię wychwala, podziela twoje zapatrywania, nawet takie, na które ja się nie godzę. O Konce- wiczu na przykład mówił zupełnie w ten sam sposób, jak ty poprzednio.

Anielka spojrzała żywo na ciotkę.

— Tak? A ciotcia nie domyśla się, dlaczego on jest niechętny Koncewiczowi?

— Nie.

— Bo on widzi, że Koncewicz goni za posa- giem... Obawia się więc, żeby...

Anielka urwała nagle, przestraszona tem, co chciała powiedzieć. Złękła się, że może obrazić ciotkę.

— No, proszę cię dokończ!

— E! Nic, ciotciu nic... Ja tylko tak sobie po- wiedziałam...

— A to co znowu za wykrety? Mów, coś miała powiedzieć!

— Ale ciotcia się nie pogniewa na mnie, dobrze, złota cioteczko...

— Nie, nie pogniewam się. Mów!

— Otóż mnie się zdaje, ale ja się zastrzegam pro- szę ciotci, że to mnie się może tylko tak wydawać... że ten pan Potyrowski boi się, aby ciotcia nie dała mi dużo pieniędzy, bo toby nie dogadzało jego wła- snym planom...

Słowa Anielki zrobiły na ciotce zupełnie inne wrażenie, aniżeli się spodziewała.

— To i ty zauważyłaś, że Potyrowski we mnie... o mnie...

— Trzeba ślepym być, żeby tego nie widzieć...

— Moje dziecko, ty doprawdy masz do pana Potyrowskiego niesłuszne uprzedzenie. Więc ty są-

dzisz, że mnie można pokochać tylko dla pienię- dzy?...

— Ach! Ciotciu, jakże mnie ciotcia może nawet posądzać o podobną myśl! Tylko ten Potyrowski...

— Nie znasz go, Anielko. To bardzo szlachetny charakter.

Wobec tak stanowczego sądu Anielka uznała, że należy przemilczeć swoje podejrzenia, dalsza bo- wiem krytyka Potyrowskiego byłaby brakiem usza- nowania dla ciotki.

Panience przykro było, że tak wstrętny dla niej człowiek roztoczył sieć swoich wpływów wokół jej ukochanej opiekunki, nie mogła jednakże, nie śmiała wypowiedzieć tego głośno.

— Przecież ciotcia nie dziecko — myślała — i ja nie mogę dawać jej nauk. Potyrowski sam się zdradzi prędzej czy później, a wówczas ciotcia prze- kona się, co to za ptaszek.

Jeszcze tego samego wieczora objęła Wikcia Pa- sternak służbę u pani Wolskiej.

Anielka od pierwszego wejrzenia poczuła żywio- łową antypatyę do tej wyfiokowanej dziewczyny, o bezczelnym wyrazie twarzy.

Pani Krystyna natomiast była bardzo zadowo- lona, ponieważ Wikcia, zachwycona dostatkiem, pa- nującym w domu, dobrą pensją i ładnym, prawie zupełnie nowym kostyumem, który jej pani od razu „na zachętę“ podarowała, zachowywała się bardzo pokornie i nadskakująco.

ROZDZIAŁ VI.

— Stasiu, czyś gotowa? Spiesz się, bo się spó- żnimy na dyżur!

— Zaraz, zaraz!

Stasia Staszyńska nakładała przed lustrem ka- pelusz na swoje złote, misternie ufryzowane loki. Czyniła to jednak bardzo powoli, jakby ociągając się umyślnie. Rzuciła przytem co chwila niecierpliwe, wyczekujące spojrzenia w kierunku drzwi.

— Stasiu, prędzej trochę! Pani Winnicka pro- siła bardzo, żeby przyjść punktualnie, bo ona ma dzisiaj czas tylko do czwartej godziny.

Stasia nerwowym ruchem ręki szarpnęła zega- rek z za paska i spojrzała nań. Drobne jej różowe wargi zacisnęły się kurczowo, jakby ściągnięte ja- kimś spazmem wewnętrznym, ręce jej drżały tak silnie, że nie mogła wepchnąć szpilki do kapelusza.

Hanka obserwowała siostrę smutnym, poważnym wzrokiem. Widziała jej zdenerwowanie, a odgaduj- jąc widocznie myśli, zaczęła wahającym nieco tonem:

— Na Montwiła nie mamy co czekać! Obiecał wprawdzie przyjść po nas, ale jeżeli go do tej pory niema, to pewnie nie przyjdzie. Wiesz, że jest bar- dzo punktualny. Prawdopodobnie poszedł sam do „kuchni“ i już tam objął kasę.

— Naturalnie — syknęła przez zaciśnięte zęby Stasia — musiał przecież odprowadzić piękną Anielkę z ochronki!

Hanka milczała, a na białem jej czole ukazała się głęboka zmarszczka. Rozumiała siostrę, do któ- rej była serdecznie przywiązana, lepiej niż ktokol- wiek inny.

Sama kochała raz w życiu, jako młodzieńca jeszcze zupełnie dziewczynka w krótkiej sukience, z długim warkoczem opadającym na plecy. Przeszła bolesne doświadczenie. Ten pierwszy zawód miłosny zwarzył jej najpiękniejsze dni wiosniane i pozosta- wił niezatarte ślady zarówno na jej powierzchowno- ści, jak i duchowym usposobieniu.

Młodość jej przyćmiona, zgaszona cierpieniem przytępiła się i spoglądała na świat i ludzi spojrze- niem poważnym nad wiek, smutnym choć spokojnym.

Stasia trzpiotowała, wesoła ślizgała się dotych- czas po powierzchni uczuć — lubiła wszystkich chłop- ców potrosze, a żadnego specjalnie i drwiła sobie z najwięcej lubianych. Miała kilka razy sposobność, aby wyjść za mąż, nie mogła się jednak jakoś zde- cydować. Lubiła swój zawód nauczycielski, ceniła swobodę i niezależność panięńską i jak sama śmie- jąc się mówiła, nie chciała się sprzeniewierzyć wszyst- kim dla jednego.

Przy takim usposobieniu dobiegła lat dwudzie- stu pięciu, zachowując swoją świeżą, różową cerę, dziecinne spojrzenie ślicznych niebieskich oczu, ży- wość ruchów podlotka i niezamąconą pogodę umysłu.

W Pradze poznały panny Staszyńskie Montwiła, o którym słyszały już poprzednio, jako o koledze uniwersyteckim brata.

Hanka spostrzegła od razu, że piękny młodzieniec zrobił na jej siostrze silne wrażenie.

Stasia zachowywała się wobec Montwiła zupeł- nie inaczej, aniżeli wobec wszystkich dotychczas zna- nych jej młodych ludzi.

Hanka poprostu nie poznawała jej. Stasia tak śmiała zawsze i rezolutna, w towarzystwie mężczyzn

drwiąca i uszczypliwa, przeistaczała się zupełnie w obecności Montwiła, tak, że trzeba było patrzeć na nią w takiej chwili, przypominać sobie, że to istotnie ta sama Stasia, która słynęła w kołach zna- jomych jako panna „z ostrym językiem“.

Jeżeli Montwił opowiadał coś, to wtedy Stasia milkła i wbrew zwyczajowi swemu, nie przerywa- jąc ni słowem, promiennym wzrokiem zdawała się pochwytywać każde słowo z ust mówiącego.

Stasia, rozpieszczona przez matkę i siostrę, fa- woryzowana przez krewnych i znajomych z powodu swej urody i wesołości, miała usposobienie trochę despotyczne i kapryśne.

Adoratorów swoich tyranizowała poprostu.

Wszystko to znikło bez śladu w stosunku do Montwiła.

Każde życzenie Montwiła było dla niej rozka- zem, podzielała jego poglądy, zapatrywania, godziła się bez zastrzeżeń na jego sądy o ludziach.

Jasne też wkrótce stało się dla Hanka, że sio- stra jej zakochała się w Montwille szalenie, ślepo, bez upamiętania.

Montwił zrazu zdradzał wielkie zainteresowanie się Stasią i znajdował szczere upodobanie w jej to- warzystwie.

Hanka cieszyła się więc myślą, że siostra bę- dzie szczęśliwszą od niej. Przytem jako nie zakochana rozpatrywała tę rzecz także z praktyczniejszego punktu widzenia.

Stasia miała już lat dwadzieścia pięć, a Montwił był młodzieńcem wykształconym — z przyszłością, był synem wielce poważanej i zamożnej rodziny z Lubelskiego — pod każdym więc względem stano- wił pożądaną „partję“.

Wszystko zapowiadało się jak najlepiej, dopóki w Pradze nie pojawiła się Anielka Żurakowska. Wówczas Montwił zmienił się nagle. Od Stasi od- sunął się, nie odprowadzał jej do domu, tak jak to dawniej bywało, nie towarzyszył na wycieczkach i spacerach, natomiast wyczekiwał nieraz całemi go- dzinami na ulicy na zimnie, aby spotkać Anielkę i zamienić z nią słów kilka.

Jeżeli Anielka była w towarzystwie, to inne ko- biety nie istniały dla niego. Widział i słyszał tylko ją jedną.

Było to tak wyraźne, że wszyscy zwrócili na to uwagę oprócz samej Anielki, która zaprzątnięta własnymi myślami, nie podejrzewała nawet, jak go- rące uczucia wzbudziła w sercu młodzieńca.

Lubiła Montwiła, podobała się jej jego ujmująca powierzchowność — uważała go też za człowieka rozumnego i sympatycznego, ale po za tem nie ana- lizowała zupełnie jego zachowania się i nie zasta- nawiała się, czy i jakie uczucia wzbudzić w nim mogła.

Nie myślała o tem poprostu.

Montwił postarał się, aby go przedstawiono ciotce Anielki, a później, jak się dowiedziała Stasia, złożył wizytę pani Wolskiej.

Hanka miała szczerą sympatyę dla Anielki, w duchu jednak przeklinała swój pomysł wciągnię- cia jej w szereg pracowników „taniej kuchni“.

Wprawdzie Anielka spełniała swoje obowiązki bardzo sumiennie i dokładnie i okazała się w „ku- chni“ bardzo pożyteczną — dawało to jednakowoż Montwiłowi sposobność do częstego widywania się z Anielką.

Hanka podniosła na siostrę oczy i rzekła:

— Anielka nie myśli wcale o Montwille! Ona prawdziwie i stale kocha się w Kazimierzu Wal- czaku. Wiesz przecie, jak się trwoży, jak martwi, bo już tak dawno nie miała wiadomości od niego.

— Ale to jej nie przeszkadza kokietować Mont- wiła! — wybuchnęła Stasia.

— Nie kokietuje go. Anielka wogóle kokietką nigdy nie była, a tem bardziej nie jest nią teraz. Rozmawia z Montwillem, lubi go, bo przyznasz sama Stasiu, że trudno go nie lubić — Hanka uśmie- chnęła się lekko — ale i na tem koniec! Sądzę, że Montwił spostrzeże to wkrótce i obojętności Anielki nie pokona!

Ale Stasia nie chciała przyznać słuszności roz- sądnych słowom siostry. I z uporem i zawziętością zakochanej kobiety chciała całą winę zwać na ry- walke.

Przypuszczenie, że Montwił kocha się w Anielce bez żadnej z jej strony podniety i zachęty, raniło boleśnie miłość własną Stasi.

Nie chciała w to wierzyć i uparcie powtarzała, szarpiąc nerwowo trzymane w ręku rękawiczki:

— A ja ci powiadam, że go kokietuje bezczel- nie! Oho ty jej nie znasz! To faryzeuszka, święto- szka z niewinną miną!

(Ciąg dalszy nastąpi).